PRZYIACIEL DZIECI



Nr. 5. I. Marca.

Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci,
Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci.

Obrazki litewskie

Z PAMIĘTNIKÓW W. P.

II.

Wieść o wkroczeniu Korony*) na Litwę nie była mylną, bo nieco wcześniej przeprawił się jenerał Chłapowski z małym korpusem na Litwę i posuwał się od puszczy Białowiejskiej po pod Słonim w Trockie, a poźniej nieco doszły nas wieści o korpusie jenerała Giełguda, który w bitwie Ostrołęckiej od głównej armji odcięty, otrzymał rozkaz naczelnego wodza

*) Tak powszechnie nazywano wówczas wojsko polskie wchodzące na Litwę.

aby szedł na Litwę. Jakoż stoczywszy bitwę pod Rajgrodem, przeszedł Niemen, a w miasteczku Żejmach było połączenie obudwu korpusów i prawie całego litewskiego powstania.

Wspominam o tym obozie pod Żejmami, bo była to jedyna spokojna, szczęśliwa, uroczysta i zachwycająca chwila w ciągu całego powstania. Cztery dni wolnych od boju, cztery dni zetknięcia się z mieszkańcami okolicznymi, cztery dni zetknięcia się z ludem, który ochłonąwszy z trwogi wylewał się w swoich uczuciach patryotycznych dla powstańców i przybyłych Koroniarzy, widząc w nich obrońców ojczyzny. Uniesień tych dusz litewskich, których uczucie w głębi tajone, wybuchało nagle, opisywać byłoby rzeczą daremną, ale nigdy w życiu nie widziałem obrazu gwałtowniejszych uczuć, obrazu serdeczniejszego wylania. Widziałem jak niewiasty wiejskie przychodziły niby procesjami do obozu, spiewając jakieś pieśni; jak całowały działa, ziemię przed końmi, co je wiozły, i ręce które broń niosły. Prości włościanie przychodzili do generałów i pytali ich jak sprawa Polski stoi? Widziałem staruszkę wiejską, która przyniosła kołacz generałowi Dębińskiemu i głaskała go po twarzy — Litwa miała ciągle łzy w oczach, a Koroniarze do uniesień i zapałów pochopniejsi oddawali się wesołości, spiewom i tańcom. Tańczono w domach i przed domami, muzyki pułkowe grały tańce polskie i rewolucyjne spiewki. Na stronie gdzie się cichsze zebrało grono deklamowała młodzież wiersze ze wszystkich naszych poetów i tu to usłyszałem po raz pierwszy wiekopomny marsz Goszczyńskiego:

Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi!
Za Bug! za Bug! za Bug!

Wieczorem zjechało do obozu paręset powozów i kałamaszek z damami i wyprawiono wielki bal pod gołem niebem, a generał Giełgud rozkazał artylerji już pożną nocą spalić sztuczne ognie; co zapewne dodało świetności uroczystemu dniu zebrania Korony i Litwy, ale nad czem poważni bardzo ubolewali Litwini, żałując tego prochu, co w sztucznych ogniach spłonął bez korzyści dla kraju.

Wszystkie powozy i kałamaszki były napełnione strojnemi damami i przysmakami, które dla powstańców wiozły prócz tego na brykach i furach — Całą noc nie zmrużył nikt oka, a że to było w maju, w prześliczną pogodę, zbiegła ta noc narodowego święta jak noc prawdziwie weselna. Dopiero gdy pobudkę otrąbiono w obozie, ucichła muzyka, a każdy wracał do pułku i konia. Ledwo że konie obrok zjadły, aż słyszę się wołanym po imieniu i głos wzdłuż szwadronów podany dowiódł mi wyraźnie że się nie mylę.

Pytam o co chodzi?

— Do generała!

A od generała Chłapowskiego dowiedziałem się że mam wybrać sobie ochotników, rozstawić na drodze do Kowna kresy i dowiedzić się co się w Kownie dzieje? Raport miał być zdany przed zachodem słońca. Generał otrzymał był wieść że jakiś korpus przybył do Kowna z Korony, zajął most na Niemnie i miasto. Chodziło tedy o to aby się dowiedzieć czy nasi, czy nieprzyciele zajęli Kowno? w jakiej sile tam stoją? jeżeli to jest korpus naszych czy niema rozkazów od rządu narodowego i naczelnego wodza? jakie sam dla siebie rozkazy odebrał? pod czyją komendą stoi, lub pod czyją przechodzi wkraczając na Litwę? czy ma stale zajmować Kowno i przeprawę na Niemnie, czy się posunie w głąb Litwy? — słowem takich kilkanaście pytań postawił mi jenerał Chłapowski i kazał mi je powtórzyć dwa razy w dowód iż wiem o co chodzi? Następnie dał mi szef sztabu odcisk pieczęci korpusu na znak że jestem z językiem posłany, a generał dodał tylko tyle:

— Przed zachodem słońca mam mieć raport. Kresy wyciągniesz i postawisz ostrożnie — Do Kowna sam dojedziesz i oddasz raport na pierwszych kresach z powrotem.

Wybrałem tak jak mi generał kazał ochotników. Co pół mili zostawiałem kresowego i przy tej sposobności wytchnęły zawsze konie. Kłusem i galopem z małemi przestankami szedł tedy cały ten marsz. Dzień był gorący i prześliczny. Jechaliśmy doliną Wilji, która jest pełna malowniczych piękności.

W tej drodze miałem sposobność przypatrzenia się im, ale jeszcze więcej rozsądkowi ludu wiejskiego, z którym po drodze rozmawiać przypadało stawiając kresy. Wszędzie zawołałem naprędce dziesiętnika i oddałem mu ułana, zapisując nazwisko wsi i dziesiętnika i wkładając na niego obowiązek czuwania nad kresowym i przechowania go w bezpieczeństwie póki nie wrócę.

Wprowadzano tedy konia do chaty, czuwając nad nim aby nie zarżał i był napasiony gdy z raportem najbliższy powróci kresowy. Obierano do tego chatę ustronną, a na strychu, wypatrując przez strzechę na wszystkie strony, czuwała warta z kilku przytomnych ludzi złożona, aby ostrzegała co się na drodze dzieje, czy nie widać moskali lub swoich? Opowiadali mi poźniej ochotnicy, których wziąłem, iż każdego z nich nakarmiono, i że się każden wyspał spokojnie, kiedy warta nad nim i nad koniem czuwała.

Jenerał kazał przysłać sobie raport przed zachodem słońca. Cztery przeszło mil drogi było do Kowna — ale że z Kowna jeszcze na pierwsze kresy powrócić miałem, było prawie pięć mil do zrobienia dnia tego. Słońce paliło straszliwie i wzniosło się już na południe gdym na ostatnich kresach zostawiał ochotnika, któregom nazwisko zachował po dziś dzień. Zwał się Półtorak, był akademikiem wileńskim w stopniu podchorążego, jaki wszystkim akademikom dano i lubo już w pułku ułanów służył, nosił jeszcze niejako dla odznaki mundur akademików wileńskich.

Zostawiwszy na kresach resztę towarzyszy, parliśmy drogą już tylko obadwa do wioski, gdzie jak się zdawało wypadało postawić ostatniego kresowego. Na lewo po nad drogą podnosił się uroczy wzgórek, uwieńczony ozdobnym dworem i otoczony ogrodem i dziedzińcem ubranym w kwiaty i w krzewy. Mimowoli prawie zwróciliśmy konie i obiegłszy połowę gazonu, osadziliśmy je przed gankiem. Z drzwi szklannych wybiegła prześliczna panienka, klasnęła w dłonie i krzyknęła:

— Polacy!

Równocześnie podbiegło kilku ludzi od stajen i chwycili za nasze konie, rozumiejąc że zostaniemy w miejscu.

Towarzysz mój zsiadł z konia, a ja rzekłem mu:

— Tu zostaniesz i będziesz czekał mojego powrotu.

— Jakto? zapytała z trwogą dziewczyna — czyż pan odjeżdżasz?

— Muszę, rzekłem. Kolega, który tu zostaje, wytłómaczy to pani.

— Da, a gdyby się posilić? A gdyby wziąść konia świeżego?

— A czy ostrzelany? zapytałem.

— Nie, odpowiedziała smutno.

— Ha, to pojadę na swoim.

— Ale gdyby wytchnąć? Ja zaraz co wyniosę — proszę zaczekać.

I pobiegła.

— Nie złe na ciebie kresy padły, kochany kolego, rzekłem do poczciwego Półtoraka.

Z uśmiechem przyznał mi to, ale nie było czasu do rozmowy, bo prześliczna panienka wybiegła już z tacą, na której nie wiem już co było — wiem tylko że biegnąc nalała już lampaczkę nalewki, która mię bardzo pokrzepiła.

Podziękowałem jej. Piana opadała płatami z konia mego, ale że nie czas było bawić, ruszyłem dalej stępą.

Okolica nabierała z każdą chwilą więcej wdzięku. Prześliczna kowieńska dolina roztaczaała się z całym urokiem przedemną, w miejscu gdzie Wilja do Niemna uchodzi.

Dziś nie mogę pojąć tego żem mógł wówczas mimo położenia groźnego, w jakiem się znajdowałem, przedeklamować sam sobie w głos całe ustępy z Wallenroda:

Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,

Dziś ich nie poznasz; dzisiaj piękne drzewa;
I liście na nich wiosenne powiewa
I młodych kwiatów unoszą się puchy!

I wszystko rzeczywiście było tak świeże i zielone w tej dolinie, jak ją znałem, jak ją nieraz witałem w duchu.

Wjeżdżając na pagórek ujrzałem piękne zwierciadło Niemna i zawołałem sobie:

Niemnie! domowa rzeka moja!
Gdzież są tamte wody.....

Widok straży na moście ocucił mię nagle. Straże chodziły wzdłuż mostu i nawracały kobiety, które z Aleksoty na tę stronę przejść chciały.

— Nie nasi — pomyślałem sobie. Nasi by przepuszczali ludzi.

I przypatrywałem się pilnie czy nie rozpoznam broni? Pulsa biły jak młotem, bo jadąc przeszło cztery mile ciągle kłusem i galopem rozegrzałem się bardzo. Krew nabiegała do oczu i zasłaniała na chwilę widoki. Słońce stało w południu. Spojrzałem na zegarek i była godzina pierwsza. Nigdzie dokoła ani bydła, ani pastuszka, ani człowieka na drodze. Zniskąd nie można było powziąść języka. Zsiadłem tedy z konia, otarłem go płatem, dałem mu chleba z wódką, do której był przyzwyczajony, a gdy odetchnął i bokami robić już przestał, przekulbaczyłem go nanowo, bo jużciż jeżeli Moskale stali w Kownie, można się było ratować jedynie ucieczką, lub trzeba się było dostać do niewoli. (D. n.)

Próżniak.

Julcio, próżniak nad próżniaki,
Cały Boży dzień się włóczył,
Lubiał same jeść przysmaki —
A nic zgoła się nie uczył.

— Jutro, jutro, zrobię panie!
Mówił zawsze nasz zwodziciel,
Gdy mu co dał na zadanie
Wypracować nauczyciel.

Więc też wcale nic nie umiał —
Nawet tego nie żałował;
Jaś zaś wiele już rozumiał:
Pisał, czytał i rachował.

Raz przyjechał tam stryjaszek,
Nawiózł szabel, karabinków,
Wiele rzeczy do igraszek,
I cukierków i rodzynków.

— Kto z was pilny, chłopcy moje,
Kto się uczy z duszy całej,
Temu dam te oto zbroje!
I wszystkie razem specjały.

Jaś wystąpił z twarzą śmiałą,
Piękny wierszyk deklamował —
Julcio z minką sposępniałą
Oczy z łzami w dłoni schował.

— Pięknie Jasiu! za to tobie
Daję rzeczy obiecane —
A niech Julcio płacze sobie,
Bo zasłużył na naganę.

Tak próżniakom zawsze bywa;
Wy nie bądźcie próżniakami!
Pracą wszystko się nabywa —
Poznacie to poźniej sami.

J. z B.

Z HISTORJI NATURALNEJ.

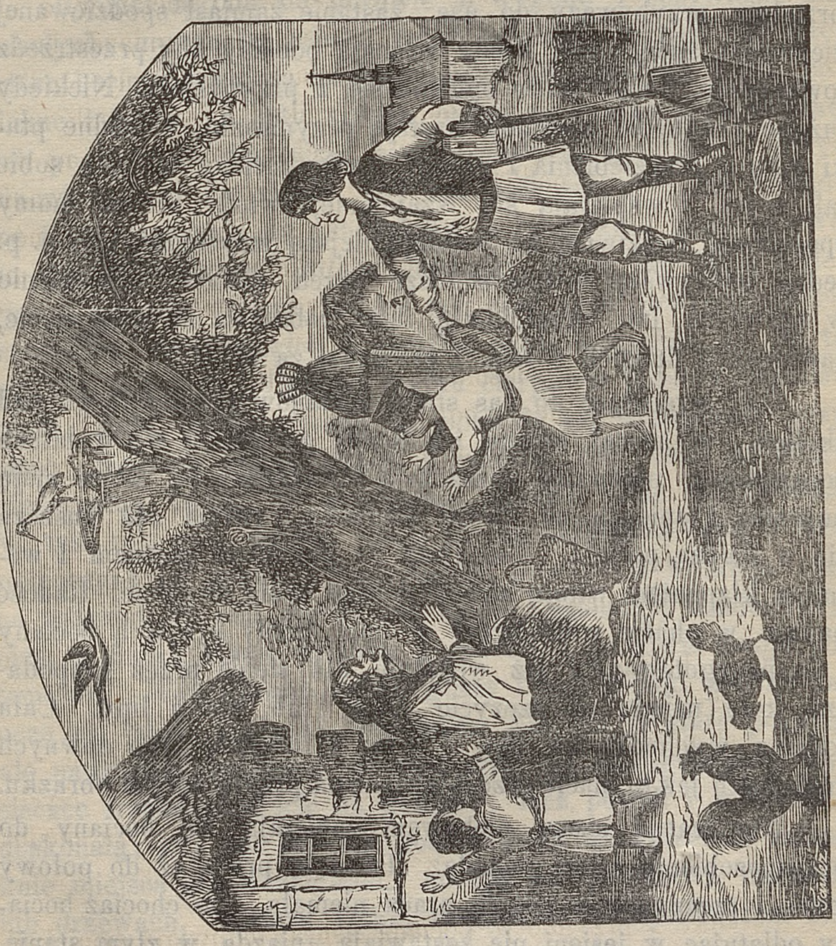
BOCIANY.

Wszerz i wzdłuż na całej ziemi Polskiej nie znajdziesz wioski, gdzieby nie kochano i nie szanowano bocianów, a nie tylko w Polsce, bo i w całej Słowiańszczyźnie gniazdo bocianie, usłane w pobliżu zagrody wieśniaczej, poczytuje lud za błogosławieństwo niebios. Zaledwo znikną lody, rolnik umacnia koło lub bronę na szczycie strzechy, stodoły, lub na wysokiem drzewie w pobliżu stojącem, a gdy niespodziewanie pierwszych dni kwietnia ujrzy na swem gnieździe bocianów donośnem kłapaniem zwiastujących swoje przybycie, zdaje mu się że już bezpieczny od ognia i gradu, spokojnie kończy zasiewy wiośniane, i pewnym jest prawie że go urodzaj nie minie. Te przesądy wieśniacze i cześć ludu powszechna dla bocianów zdają się sięgać odległych czasów pogańskich; bądź co bądź świadczą one najdowodniej że dla Polaka zwyczaje i obyczaje naddziadów są najdroższą po nich spuścizną, że ani czas, ani stosunki, ani cywilizacja, ani żadne klęski nie zdołają osłabić w nim wiary w to wszystko co jego przodkowie przed wielą nawet wieków za święte poczytywali.

Jeżeli bociany zrażone naszemi wiosennemi przymrozkami opoźniają się z powrotem na gniazda, lud trwoży się czy to nie jest przepowiednią nowej klęski, i nie uspokaja się pierwej aż pierwsze stada przybędą. Nierozważnych myśliwych, co strzelają do bocianów, uważają wieśniacy za niedowiarków, i poglądają na nich z wstrętem i pogardą.

Instynkt i przymioty bociana usprawiedliwiają poniekąd przesądy ludu. Bociany należą do ptaków, które są dobrodziejstwem dla okolicy w której przebywają, oczyszczają bowiem łąki i pola z zbytecznej ilości żab, myszy, żuków, pędraków, chrząszczy, a nadto posiadają przymiot zadziwiający, najdoskonalsze przeczucie, które ich nigdy nie zawodzi. Do-

wiedzioną jest rzeczą że jeżli bocian opuści gniazdo, tedy dom lub drzewo, na którem było zbudowane, ulegnie wkrótce nieszczęściu i spłonie od ognia lub piorunu, albo wywróci się ze starości. Mają też instynkt szczególny, przy pomocy którego umieją odróżnić krzywdę wyrządzoną sobie z umysłu, od przypadkowej, i tak jeżeli burza lub inna jakaś niespodziewana przygoda stanie się przyczyną że za powrotem na



gniazdo znajdą je wywrócone, że zastaną potłuczone jaja lub dzieci pozabijane, znoszą to nieszczęście cierpliwie i acz z obawą, gnieżdżą się powtórnie w tem samem miejscu; przeciwnie zaś jeżli poznają że ich złość ludzka dosięgła, nigdy się już nie pokażą tutaj, i z wstrętem dawne siedlisko z daleka omijać będą.

Bociany należą do ptaków przelotnych; przepędzają u nas wiosnę i lato, a pod jesień odlatują do gorących krajów. Wracają do nas z początkiem kwietnia. Nadciąga najprzód nieliczny oddział, niby przednia straż głównego korpusu, który o kilka dni później przybywa w kilka tysięcy bocianów, a za tym postępuje znowu stado mniejsze niby straż tylna, z najsłabszych ptaków złożone. Zdarza się czasem że straż przednia przybywszy do nas zastanie zamiast spodziewanej zieloności, śnieg i lód; wtedy wracają bociany aby przestrzedz towarzyszy, i całe stado opożnia się z przybyciem. Niekiedy już po przybyciu bocianów nastają przymrozki, i biedne ptaki giną z przeziębienia i głodu; wtedy bociany radzą o sobie jak mogą i wspierają się wzajemnie, wtedy nieraz mamy sposobność podziwiać ich szczególniejszą zmyślność, gdy n. p. jeden odkrywszy bezpieczniejsze przed zimnem schronienie w szuwarze lub znaczniejszą ilość robactwa na pożywienie, zawiadamia drugich o tem, i prowadzi za sobą.

Gdy wracające do nas stado bocianów przelatuje po nad okolicą, w której pewna ich liczba gnieździła się w latach poprzednich, natenczas opuszczają towarzyszy te, które mają pozostać i spieszą na dawne siedlisko, reszta zaś puszcza się w dalszą podróż. Usiadłszy na gnieździe głośnem i wesołem kłapaniem witają strony dobrze sobie znajome. Radość panuje w chacie wieśniaczej w dniu kiedy przylecą bociany i na przygotowanem już wcześnie dla siebie przez gospodarza kole usiędą na szczycie chaty lub starej lipy. Cała rodzina wychodzi ku nim i wita z radością jako dawnych znajomych jak to macie przedstawione na przyłączonym obrazku.

Nie tracąc czasu niebawem zabierają się bociany do przysposobienia sobie gniazda. Trwa ta praca aż do połowy maja, i rzeczywiście jest to praca niemała, bo chociaż bociany odlatując w jesieni nie zostawiają gniazda w złym stanie, lecz umacniają je do ostatniej chwili, przecież wichry i słoty pod zimę tak częste, i śniegi długo trwające popsują niejedno w sztucznej budowie; trzeba więc znowu znosić po trochę mech, szmatki, kłaki i tym podobne drobiazgi, zatykać dziury i przyrządzać miękkie dla młodych posłanie.

Gdy się z jaj wykłują małe bocianki są one niesłychanej brzydoty, w niczem zgoła nie podobne do rodziców, niezgrabne, bez pierza, wyglądają jak poczwary, pomimo tego jednak rodzice cieszą się niemi niewymownie, a gdy ostatnie pisklę wykłuje się z jaja, na znak radości kłapią dziobami tak głośno, że nawet w dosyć znacznej słychać odległości.

Rodzice starają się gorliwie o wygodę i pożywienie dla młodych; znoszą im robaki, żabki, pijawki, tudzież piskorze, które bociany uważają za największy przysmaczek i tym podobne żyjątka. A gdy samica odleci na krótką przechadzkę lub po żywność dla siebie, samiec siada na gnieździe i okrywa młode, aby nie ziębły; gdy zaś podrosną uczy, ich porządku i przyzwyczaja do ochędóstwa, a częstokroć karci surowo za nieposłuszeństwo. Młode bocianki długo nie lubią wylecieć z gniazda, leniwe, radeby tak całe życie pożywać owoce zachodów rodzicielskich i siedzieć sobie wygodnie, ale im to nie długo uchodzi. Chociaż matka cierpliwie pobłaża pieszczochom, ojciec gdy podrosną nie pozwala się wczasować, uczy latać, niekiedy nawet strąca z gniazda, gdy które za długo niedorostka udaje, i przymusza szukać sobie pożywienia. W tym celu cała rodzina udaje się na najbliższą łąkę i tam rozpoczyna się nauka. Stary bocian poważnym krokiem stąpa naprzód, za nim powoli idą młode i naśladują każden ruch ojca, a matka kłapie dziobem z radości i podziwia swoje potomstwo. Wyszukiwać żabki, glisty i inne robaki prędko nauczą się młode bocianki, zwłaszcza gdy im je stare pokażą, ale najtrudniej podlecieć w górę gdy po kilkogodzinnej wycieczce trzeba powrócić na gniazdo, lecz powoli i w tem się doskonalą; gdy zaś już tak podrosną że na gnieździe zabraknie miejsca dla wszystkich, nocują na pobliskich dachach lub drzewach, a stare tylko, częstokroć z najmłodszem lub najulubieńszem dzieckiem, wracają na gniazdo.

Gdy się zbliża czas odlotu, bociany opuszczają swoje siedlisko i przenoszą się w inną pobliską okolicę, jakby na umówione miejsce, gdzie powoli nadciąga ich coraz więcej. Z wszystkich stron zlatują się po sześcioro, to jest dwoje sta-

rych, a czworo młodych, a gdy już zbiorą się wszystkie, co się u pobliża gnieździły, lecą na inne miejsce, gdzie znowu nadciągają świeże gromadki i tak dalej. Na tych zebraniach bociany niby zaznajamiają się z sobą, próbują sił swoich, zaprawiają się do dalekiej podróży. Następnie po raz ostatni powracają do gniazda, a młode kłapią po raz pierwszy wraz ze staremi jakby na pożegnanie, i nareszcie odlatują znowu, zbierają się w stada, szykują i już są gotowe do drogi.

Na tych zebraniach odbywają się także krwawe sądy, stare bowiem bociany, które całemu stadu służą za przewodników, skazują na śmierć tych z grona młodych towarzyszy swoich, którzy według ich zdania nie zdołaliby wytrzymać podróży i dla braku sił opóźnialiby wędrówkę. Te ofiary, poświęcane dla dobra ogółu, są to najmłodsze bocianki, które z jaj najpóźniej się wykłuły, a o których rodzice, starszemi dziećmi zajęte, nie miały czasu pamiętać należycie. Niekiedy przeczuwają one swój los, nie łączą się ze stadem bocianów, owszem unikają go, chronią się pod strzechę ludzką i zimują w kuchni. Czeladź wiejska rada jest powszechnie całem sercem takiemu towarzyszowi, chętnie go karmi i pieści, bociuś umie ocenić i odwdzięczać takie względy, niemniej przeto na rok przyszły, skoro tylko wiosna nadejdzie, wzlatuje na gniazdo, a jeżeli tymczasem wyrósł na wielkiego i dzielnego bociana, przebaczają mu starsi wyśliźnięcie się z pod władzy prawa i zimowanie w kuchni, zamiast w Hiszpanji, Sycylji, Krymie, Azji lub Egipcie.

O POLSKICH MIASTACH.

(Ciąg dalszy).

O KRAKOWIE.

Góry Karpat piętrzą się pod niebo, nad chmury sterczą ich wierzchołki, a boki jodłowym lasem szumią. W tych gó-

rach wzbierają potoki i tryskają nowe źródła, ze źródeł powstają rzeki. Tam powstaje Wisła nasza, a potem od gór Karpackich do morza płynie, jak wstęga srebrzysta. Jak z wierzchołka tych gór spojrzeć, to z jednej strony ciągnie się żyzny i piękny kraj węgierski, a z drugiej szerokie polskie ziemie; a nad Wisłą sterczą wieże i rozlegają się dzwony, i widać miasto dawne, miasto sławne i zamek na skale Wawelu zbudowany. A zbudował to miasto książe Krakus. Wdzięczny lud usypał mu swemi rękami wielką mogiłę; a drugą obok, córce jego Wandzie, co nie chcąc iść za Niemca i oddać Niemcowi polskiego kraju, w Wisłę się rzuciła; a trzecią obok tych dwóch mogił, największą mogiłę usypał naród Kościuszce. I tak dotąd pod miastem wznoszą się te trzy mogiły. Jeden z polskich królów, Kazimierz, przeniósł tu stolicę z Wielkopolski. I powstał na skale Wawelu zamek, gdzie królowie mieszkali, i przy zamku wielki kościół gdzie królów chowano. Miasto to nad Wisłą nazywa się **Kraków**.

Słyszałyście może tę piosneczkę, co o nim spiewają:

Ach! to miasto śliczne!
A tyś w niem nie była;
Tam domostwa liczne,
Trzy dni byś błądziła.

Tam biją zegary,
I dzwonią nad wieżą,
Kędy zamek stary
Polskie króle leżą.

O WARSZAWIE.

A gdy się kraj polski rozszerzył od północy i od południa, od wschodu i zachodu, to niewygodnie było polskim królom mieszkać w Krakowie, i przenieśli stolicę do drugiego miasta, także nad Wisłą, ale dalej ku środkowi, na Mazowszu.

Były tu przedtem puszcze i lasy, a lat temu ze 700, pobożny jakiś człowiek wybudował kapliczkę Aniołom Stróżom, żeby podróżnych od zbłąkania i zbójców strzegli. A potem koło kaplicy poklejono drewniane domostwa i zrobiła się naprzód wieś, a potem i miasto. Książe Mazowiecki zbudował drewniany zamek, a kościół jeden za drugim przybywał; a najstarszy kościół farny, co przeszło sześć wieków stoi. Wymarli królowie polscy z rodu Piastów i Jagiełłów, co mieszkali w Gnieźnie, Poznaniu i Krakowie. Król Zygmunt III. Kraków opuścił, do miasta na Mazowszu się sprowadził, i zamek drewniany książęcy na murowany królewski przerobił, a brzeg, który się stacza ku Wiśle, ślicznie zielonością umaił. Na pamiątkę przeniesienia stolicy wystawiono temu królowi Zygmuntowi, przed onym zamkiem, wysoką kolumnę, na której stoi jego osoba z mieczem w ręku i z krzyżem, jakby nim chciał całe miasto błogosławić. To mazowieckie nad Wisłą miasto, ta czwarta królów polskich stolica, nazywa się **Warszawa.**

O LWOWIE.

Jakże to się od południa rozszerzył kraj polski! Na południe, wzdłuż gór Karpackich, ciągnie się Ruś Czerwona. Cudny to był kraj i bogaty jak mało. Ale od czasu jak dzikie ćmy Tatarskie z Azji przybyłe, plądrować go i pustoszyć zaczęły, pola tratować kopytami końskiemi, miasta palić i rabować, dzieci wykradać i mieszkańców uprowadzać w niewolę, cudny ten kraj zamienił się w pustkowie, ludność go opuściła, a ci co zostali żałośnie płakali miast i wsi popalonych, dzieci porwanych, a w trwodze oczekiwali jeno nowej tatarskiej napaści. Ta Ruś Czerwona czekała ktoby ją od Tatarów osłonił, i oddała się w opiekę królowi polskiemu Kazimierzowi Wielkiemu i z Polską się złączyła. Kazimierz Wielki i następni królowie bardzo dbali o onę Ruś Czerwoną. Zasłaniali ją jak mogli od Tatarów, miasta jej otaczali murami, żeby bezpieczniejsze były. Wzniosło się też w tej stronie jedno szczególniej miasto.

Z całego świata zwożono doń towary i zjeżdżali się kupcy. Miało też kościoły katolickie łacińskie i ormiańskie i cerkwie ruskie. Mówiono tam wszystkiemi językami, modlono się na różne sposoby, a królowie polscy strzegli żeby każdy mieszkaniec miasta miał bezpieczeństwo, a żadna wiara prześladowaną nie była. Od tego czasu miasto to przeszło różne koleje. Nazywa się **Lwów**.

O KAMIEŃCU.

Poniżej owej Rusi Czerwonej, ku morzu Czarnemu, jeszcze żyżniejsze ciągnęły się ziemie. W ciepłem, jasnem słońcu świeciło Podole czyli Ruś dolna. A jakie to bogactwa niosła ta ziemia to i wypowiedzieć trudno! Po stepach (nieuprawianych ziemiach szerokich) puszczała się tak wysoka trawa, że z niej rogów nie widać było wołowi. Zostawił kto pług w polu, naniósł wiatr trochę owej tłustej, czarnej ziemi, jużci we trzy, cztery dni na owym pługu bujała gęsta trawa. Chmury pszczół unosiły się w lada rozpadlinie i gdzie człowiek stąpił tam z ziemi zdroje miodu tryskały. Otrzęsione przy żniwie ziarno tak prędko wyrastało i dojrzewało, że w tym samym roku drugie dawało żniwo Winograd, morele, brzoskwinie, rosły sobie dziko, koło chat wieśniaczych. Ta to piękna ziemia także już od Kazimierza Wielkiego oglądała się na Polskę. Mieli na nią ochotę i litewscy książęta, ale jak się poźniej i Litwa z Polską złączyła, tak potem zarówno już było do Polski czy do Litwy należeć. To śliczne Podole też nie mało od Tatarów wycierpiało; później je napadli i Turcy. Jest tam miasto dziwne, bo całe na skale zbudowane, a poniżej tej skały płynie bystra rzeka, Smotrycz. To miasto, i z Podolem całem, wzięli raz Turcy Polsce, rozgospodarzyli się w niem i krzyże pozrzucali, a swoje półksiężyce wznieśli. Nie ścierpiało jednak miasto pogańskiej niewoli. Musieli się wynieść Turcy, a prosili tylko żeby na ich pamiątkę choć na jednym kościele półksiężyc zostawić. Przystali na to Polacy, a na półksiężycu postawili

figurę Matki Najświętszej. I nad modrym Smotryczem błyszczą wieże kościelne, a na najwyższej wieży stoi Najświętsza Panienka i patrzy w modre niebo. Tak dotąd zostało. A miasto owo na pięknem Podolu nazywa się **Kamieniec.**

O ŻYTOMIERZU.

Za Podolem idzie Wołyń, a czarne jego role bujny plon wydają. Gdy Ruś Czerwona Kazimierzowi Wielkiemu a później wnuczce jego Jadwidze otwierała bramy stołecznego Lwowa i miast innych, wtedy miasta na Wołyniu prawie wszystkie trzymali książęta litewscy, pokrewni Jagiełły. Jagiełło ten mężem cudnej Jadwigi został, Litwę złączył z Polską; a wtedy książęta Wołynia za króla go uznali. Były tam piękne, stare i świetne miasta, ale podupadły wszystkie. Jedno z nich jakoś trzyma się dotąd, a nawet coraz bardziej się wznosi. Zbudowane ono było w leśnej okolicy, i niegdyś las głęboki pod same jego mury podchodził. Dwie rzeczki, Kamionka i Teterów, płyną poniżej tego wzgórza nad którem miasto się ciągnie. Po brzegach Teterowa sterczą wielkie odłamy skał, a część ich zawaliła prawie rzeczkę Kamionkę. Wielkie te bryły kamienne pięknie, dziwnie i strasznie nieraz wydają się oku — jak olbrzymy ludzkie, lub wieże kościelne, lub cudowne gmachy jakie. A w koło na czarnoziemiach buja kłos plenny, ciągnie się żytni świat; ztąd i miasto owe, Wołynia stolica, nazywa się **Żytomierz.**

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1863.